



JERZY ANTCZAK
NOCE I DNI
MOJEGO ŻYCIA



AXIS MUNDI

WYDANIE
JUBILEUSZOWE

95

LECIE
JERZEGO
ANTCZAKA

JERZY ANTCZAK
NOCE I DNI
MOJEGO ŻYCIA



WYDANIE
JUBILEUSZOWE

95

LECIE
JERZEGO
ANTCZAKA

Projekt okładki: Borys Borowski

Redaktor prowadzący: Marta Szelichowska

Korekta techniczna: Basia Borowska

Redakcja i korekta: Elżbieta Makowska

Zdjęcia: archiwum Autora

Zdjęcie na okładce: Jerzy Troszczyński / Filmoteka Narodowa (kadr z filmu

Noce i Dnie)

Wydanie II

ISBN: 978-83-8383-304-0

EAN: 9788383833040

ISBN e-book: 978-83-8383-305-7

Copyright ©2025 by Jerzy Antczak

Copyright for this edition ©Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Patronat główny: Stowarzyszenie Filmowców Polskich



Wydawca: Axis Mundi

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

Jadzi i Mini...

Wstęp

Latem 2024 roku przy śniadaniu mój syn Mikołaj powiedział: Drogi Tato, 25 grudnia kończysz 95 lat. Marzeniem moim jest, aby z okazji tego święta Axis Mundi wydało jubileuszową wersję „Nocy i dni mojego życia”.

Tak też się stało. Wydanie tego dzieła w rocznicę moich urodzin jest rachunkiem sumienia.

„Nadęci i zapatrzeni w siebie nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo jesteśmy śmieszni. Śmiertelnie chory Antoni Czechow wracając z zagranicy pociągiem do Rosji poczuł nagle, że zbliża się kres jego ziemskiej wędrówki. Poprosił żonę, Olgę Knipper, aby podała mu kieliszek szampana. Spełniła jego życzenie. Ujął szkło w wychudzone dłonie. Przyłożył do ust. Wypił i powiedział: 'Jakie to wszystko śmieszne'. I zgasł...

Ile razy staram się z wielką powagą traktować wydarzenia mego życia, właśnie ta scena staje mi przed oczyma. Bo przecież na dobrą sprawę, gdyby zastanowić się nad naszym ziemskim bytowaniem, to nie ma ono wielkiego sensu. Bo wszystko jest względne. Liczy się tylko chwila, w której coś się wydarzyło. I głównie o tym chcę powiedzieć. Chcę opowiedzieć o ludziach, z którymi się spotkałem. Z którymi pracowałem. Bez których nigdy niczego nie mógłbym dokonać. Będzie też i o mnie.

Myślę, że jestem dosyć śmieszna figurą, chociaż czasami próbuję traktować siebie poważnie. Jak każdy człowiek, oprócz jakichś tam okruchów zalet, mam tony wad. A jedną z koronnych jest to, że lubię brylować w towarzystwie. Dlaczego? Ano właśnie. Po prostu mam taką nerwicę, że jeżeli nie zabiorę głosu i nie zacznę zabawiać, nastąpi katastrofa. Tak więc od wielu dziesiątków lat staram się bawić otoczenie, aczkolwiek ze zmiennym powodzeniem”. Dopóki była ze mną moja kochana żona, Jadzia Barańska,

wysłuchiwała tych samych, choć nieco zmodyfikowanych dowcipów i śmiała się, jakby je słyszała po raz pierwszy. I gdyby ktoś zapytał mnie jak na świętej spowiedzi, dlaczego ją kocham, odpowiedziałbym, że nie tylko dlatego, iż jest wspaniałym facetem, ale też za to, że tak wiernie towarzyszyła mi w moim bryłowaniu. Dziękuję Ci bardzo Jadziu i za Twoją zachętą spróbuję nadać mojemu bryłowaniu formę zapisu.

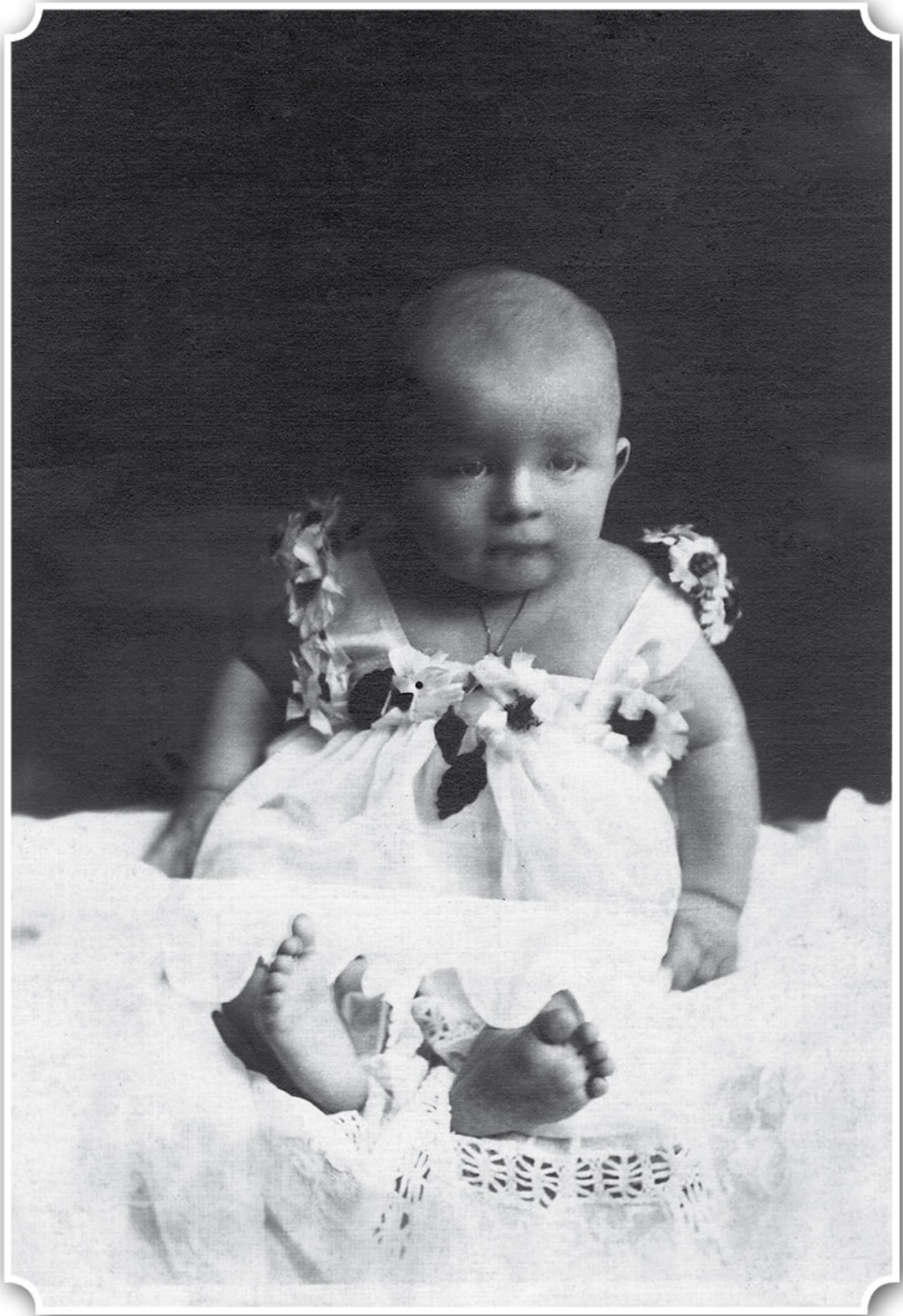
O narodzinach pomysłu na „Noce i dnie” pisałem i mówiłem do znudzenia. Nie było tego filmu, gdyby nie Jadzia, która podsunęła mi tę książkę podczas wakacji w Jugosławii. To ona przekonała mnie o jej pięknie, o zamyśleniu nad losem człowieka. I zaraziła cytatem z Dąbrowskiej: „Żyjemy, umieramy, a życia wciąż wystarcza!”

No i stało się! Barańska zepsuła mi wtedy urlop. Ale obdarowała nas wielką przygodą, dzięki której, jak mam nadzieję, zostaniemy przez Was zapamiętani.

Jerzy Antczak, Los Angeles, listopad 2024 r.



Jadzia zawsze śmiała się z moich starych dowcipów, jakby słyszała je po raz pierwszy...



To jestem ja, „Kartofel z Wołynia”.



A ta elegancka dama, to moja przyszła żona, Jadzia Barańska.

CZEŚĆ PIERWSZA

Mój pierwszy teatr

Jest rok 1953. Ukończyłem łódzką Wyższą Szkołę Aktorską i dostałem angaż do Teatru Powszechnego w Łodzi, którego dyrektorem była wspaniała aktorka i równie znakomity pedagog Jadwiga Chojnacka, zwana „Dziunią”. A zatem angaż do teatru to jedno wydarzenie, a drugie to śmierć Batki Stalina. Boże mój... Jaka to była radość! Ile wódeczki się wypilo ze szczęścia! Nie stroniłem od „rozmownej wody”, kochając wywoływany przez nią szmerek w głowie. A miałem doborowe towarzystwo do gorzałkowania w postaci Jurka Walczaka, który wchłaniał ją bez zagrychy. Do dziś nie mogę pojąć, jak on to wytrzymał. Drobnym, neurastenicznym, o szczupłej, bladej twarzy, wielkich oczach i pięknych dłoniach, był stworzony do ról romantycznych bohaterów.



Śmierć Stalina

Kiedy 9 marca 1953 roku siedziałem z kilkoma koleśkami w słynnej aktorskiej restauracji, nad schaboszczakiem i butelczyną wody, „Lili Fontelli”, bo taką ksywę nosił znany łódzki wariat, wpadł tam jak burza i ryknął na całe gardło: „Na cmentarzu usia siusia i nie mamy już Józusia...”

I tak oto dowiedziałem się o śmierci Stalina.

A teraz muszę wrócić do mojej wielkiej benefaktorki. Otóż Dziunia nie tylko była wielbicieleką towarzysza Stalina, ale wręcz go kochała. I w tym miejscu zaświadczam przed Bogiem i historią, że widziałem na własne oczy, jak głęboko sięgało jej uczucie. Dziunia była po prostu nim zaszczepiona. A nie robiła tego dla kariery. Była wspaniałą aktorką. Jej miłość do Generalissimusa

Stalina płynęła z potrzeby serca. I otóż to serce kazało jej zorganizować w Teatrze Powszechnym uroczystą akademię ku czci zmarłego wodza.

Teatr Powszechny miał zespół doborowy. Tworzyli go ludzie kochający się, dumni z uprawianego zawodu.

Siedzieliśmy na widowni. Sztucznie zasromani. Lubię ten moment w teatrze, kiedy światła z wolna przygasają i widownię otula ciepły mrok. A potem rozlega się gong i kurtyna z szelestem rozsuwa się na boki albo idzie w górę, ukazując wyczarowany wyobraźnią reżysera i scenografa świat iluzji teatralnej. A co wyczarowała na tę chwilę Dziunia? Otóż postanowiła zacząć w stylu wielkich wizjonerów teatru.

Kiedy kurtyna rozsunęła się, zobaczyliśmy pustą scenę. Ciemności. Z wolna zapalił się czerwony punktowiec, którego strumień uniósł się w górę, skąd w rytmie werbli zaczęło majestatycznie spływać zawieszony na grubych linach popiersie Stalina. W krwawej czerwieni popiersie powoli opadało, ale nikt nie przewidział, że ciężka gipsowa bryła zacznie się kręcić w kółko jak liść miotany wiatrem. Stojący na pomoście maszyniści zaczęli toczyć rozpaczliwą walkę, aby przywrócić popiersiu równowagę i dostojność należną zmarłemu. Nic jednak nie mogło powstrzymać baletu popiersia.

Rzeźba rozhuštała się tak, że nagle lina opasująca ramiona towarzysza Stalina przesunęła się na szyję wodza i zacisnęła jak sznur na szyi powieszony. Towarzysz Józef Stalin niczym wisielec wolno opadał na przygotowany dla popiersia postument. Radosny szmerek rósł niebezpiecznie, ale na szczęście wkrótce zgasło światło. Cisza. Potem ponownie ponury gruchot werbli. Czerwone światło skierowało się w prawą kulisę, zza której wyszła pokryta kirem od stóp do głowy Dziunia. Szła żałobnym krokiem. Kiedy osiągnęła środek sceny, werble urwały się. Była wielką aktorką. Znała potęgę paury i ciszy. Długo milczała, potem rozłożyła ramiona i jakby chciała

podzielić się swoim bólem z całym światem, powiedziała cicho: „Zmarł towarzysz Józef Stalin... Zgasło słońce Gruzji!”

Po chwili spojrzała w niebo, gdzie według niej powinien znajdować się duch Wodza i łamliwym głosem powiedziała: „Towarzyszu Stalin... Mój drogi Soso... Kobo, zwany «Kominiarzem»... W tej tragicznej dla mnie chwili... w imieniu kolektywu Teatru Powszechnego w Łodzi chcę ci zadedykować twoją ukochaną pieśń – *Suliko!*”

I tutaj pięknym altem, a głos miała mocny, ciepły, nośny, zaczęła śpiewać.

Siedziałem w pierwszym rzędzie, blisko pana Kazimierza Wichniarza. Było to wielkie, rosłe chłopisko, o nalanej twarzy i małych oczkach żartownisia. Już od samego początku, kiedy dokonywał się płas popiersia, pan Kazimierz wydawał z siebie gardłowe dźwięki radości. Z pierwszymi słowami *Suliko* nie mógł zapanować nad radością i eksplodował śmiechem. Ale nagle ogarnął go paniczny strach, bo śmiech w takiej chwili mógł go kosztować kilka lat pierdła. Zakrył twarz dłońmi i próbował zamienić śmiech w szloch. Upadł na oba kolana i zaczął głośno płakać. W ślad za nim wszyscy zrobiliśmy to samo. Dwa dni potem Dziunia zwołała nadzwyczajne zebranie całego zespołu i podziękowała za głębię uczuć, z jakimi Teatr Powszechny żegnał Generalissimusa. Na koniec powiedziała: „Ostatniej nocy miałam ciekawy sen... Przyszedł do mnie towarzysz Stalin. Usiadł na brzegu łóżka i powiedział: «Towarzyszko Jadwigo... Jest taka piękna sztuka o mojej młodości, która ma tytuł *Z iskry rozgorzeje płomień*»”. Po chwili uroczystego milczenia zapytała:

- Czy koledzy uważają za słuszne spełnić wolę zmarłego?
- Taaaaak! – odpowiedzieliśmy chórem.



„Z iskry rozgorzeje płomień”

W dwa dni po zebraniu wywieszono obsadę. Młodego Stalina miał grać Jurek Walczak. Ja otrzymałem dużą rolę przyjaciela towarzysza Soso, Wardena. W sztuce mieli wystąpić wszyscy najwybitniejsi aktorzy teatru. Ku naszemu zdumieniu, na tablicy nie było nazwiska aktora, który miał grać Lenina. Oczywiście od razu zaczęły się plotki, że może Dziunia chce sprowadzić jakiegoś aktora z Moskwy, specjalizującego się w roli Lenina. Budziło to jednak wątpliwości, bowiem Lenin nie miał nic do grania. Ukazywał się w ostatnim akcie, mówił jedno słowo: „Towarzysze..” i kurtyna zapadała.

Kilka dni później Dziunia zwołała całą obsadę sztuki i... po uroczystej ciszy oznajmiła: „Długo zastanawiałam się, kto może udźwignąć rolę Lenina. To jedno wejście wymaga wielkiego kunsztu, aby na jedną krótką chwilę stać się Leninem! I po długim namyśle doszłam do przekonania, że w naszym zespole jest jeden taki aktor – towarzysz Remigiusz Piotrowski. Zasługuje na tę rolę z dwóch względów: po pierwsze jest obdarzony aktorskim nerwem, a po wtóre jest sekretarzem organizacji partyjnej naszego teatru. Człowiekiem oddanym sprawie socjalizmu”. Zawiesiła głos, po czym zapytała:

- Czy koledzy popierają mój wybór?
- Taaaaaak...! – odpowiedzieliśmy chórem.

Remigiusz Piotrowski miał mocno przerzedzone włosy. Brzydkie ręce. Krótkie nogi. Oczka małe. Nos zadarty. Zewnętrznie można było z niego ulepić Lenina. Niestety był całkowicie pozbawiony talentu aktorskiego. Nikt nie wiedział, skąd się wziął w teatrze. Chodziły słuchy, że protegowała go sekretarz organizacji partyjnej miasta Łodzi, przyjaciółka Dziuni, słynna dawna tkaczka zakładów włókienniczych Scheiblera, Michalina Tatarkówna. I chyba było to bliskie prawdy, bo Piotrowski, czując nad sobą parasol, był figurą arogancką.

Piotrowski przyjął wyróżnienie jako rzecz zwyczajną. Po prostu nie wyobrażał sobie, żeby ktoś inny mógł dostąpić tego zaszczytu. Na pytanie Dziuni: „Czy towarzysz Piotrowski chce wcielić się w postać Lenina?” – odpowiedział bez zająknięcia: „Co to znaczy, czy chcę się wcielić... Od tej chwili już jestem Leninem, towarzyszeko Jadwigo!”

I teraz zaczęły się dziać rzeczy, których nie wymyśliłby nawet Gogol. Piotrowski poprosił o dostarczenie mu wszystkich dzieł Lenina. Ponadto oznajmił: Muszę wyjechać do Kudowy Zdroju, aby z dala od teatralnego burdelu popracować nad rolą”.

Kilka dni później służbowym samochodem, mając przy sobie dzieła Lenina, wyjechał do Kudowy Zdroju, aby tam wgłębiać się w postać Wodza Rewolucji.

Rozpoczęły się próby. Sztuka nie była najwyższych lotów, ale miała dobrze wyprowadzone konflikty, kilka doskonałych ról i wyrazistą rolę młodego Stalina. Chcąc zgłębić epokę do końca, Dziunia zafundowała nam tygodniowy maraton filmów radzieckich. Tej wielkiej klasyki z lat trzydziestych i czasów wojny. I tutaj trzeba powiedzieć o rozdarciu, jakie było w ludziach. Mieliśmy mocne motywy, aby nienawidzić wszystkiego, co pochodziło z kraju, który nas zniewolił, a jednak kiedy patrzyliśmy na arcydzieła filmowe, takie jak *Czapajew*, *Tragedia o Maksymie*, *Potiomkin*, *Iwan Groźny*, czy komedie *Świat się śmieje*, *O szóstej wieczorem po wojnie*, artyzm tych filmów, wielkie kreacje aktorskie budziły podziw i wzruszenie. I to był właśnie ten fenomen propagandy bolszewickiej, za sprawą której łożono wielkie pieniądze, wciągano do sztuki wybitnych artystów, których talenty uwiarygodniały system.

Piotrowski, kiedy wrócił do nas, pracujących ciężko jak galernicy, wyglądał jak rydz. Przyszedł na próbę. Usiadł i ze zmrużonymi powiekami Lenina patrzył na nas, oceniając, czy warto dołączyć do tego grona. Dziunia

skomentowała: „To jest właśnie to, czego potrzebuję... Hipnoza... Wielka siła Lenina... Jeden gest, jedno słowo...!”

Zaczęły się próby generalne.



Czy Piotrowski był Leninem?

I teraz muszę wprowadzić niebywałą figurę. Był to Mirosław Zielonka. Pomocnik fryzjera Oskara Mandelzafta, najcudowniejszego Żyda, jakiego udało mi się dotąd spotkać. Zielonka był jak postać z wiersza Tuwima:

*Na stacji Chandra Unyńska,
Gdzieś w mordobijskim powiecie,
Telegrafista Piotr Płaskin
Nie umiał grać na klarncie.*

*Zdarzenie blahe na pozór,
Niewarte aż poematu,
Lecz w konsekwencjach się stało
Główną przyczyną dramatu.*

Mirosław Zielonka stał się przyczyną dramatu. Wysoki. Chudy. O podłużnej twarzy. Usta pełne, zęby brzydkie, nierówne, o czym Zielonka wiedział, bo uśmiechając się sznurował wargi. Ozdobą jego twarzy były oczy. Wielkie jak dwie śliwki. No i włosy. A właściwie burza gęstych, niesfornych włosów. Wreszcie dłonie. Piękne, długie, wysmukłe palce, zakończone miękkimi opuszkami, jakimi obdarzeni są muzycy. Istotnie Mirosław Zielonka oprócz tego, że był pomocnikiem fryzjera, grał pięknie na fisharmonii. Taki Janko Muzykant, który nie wiedział, dlaczego musi grać. Ponadto, jak

przystało na Janka Muzykanta, miał słabe zdrowie. Jego bezkrwista twarz i czoło ciągle były zroszone potem.

Mieszkał pod Łodzią i aby nie tracił sił na męczących dojazdach, Dziunia pozwoliła mu spać w garderobie. Za kulisami teatru stała stara fisharmonia, na której mógł grać, grać, grać... Z tym muzycznym talentem ukrywał się, a ja odkryłem ten dar przez przypadek. Jurek Kaczmarek, mój wspaniały kolega, również nie chciał dojeżdżać spod Łodzi i dostał pozwolenie spania w jednej z garderób.

Spędzałem z Jurkiem długie godziny po przedstawieniu, popijając piwko albo wódeczkę, rozprawiając o znikomościach tego świata. Którejś nocy doszły nas nagle odgłosy fisharmonii. Ktoś grał *Toccatę* i *Fugę C-dur* Jana Sebastiana Bacha. Wybiegliśmy z garderoby. Dźwięki zaprowadziły nas nieomylnie za kulisy, gdzie Zielonka z płonącymi oczyma wydobywał z fisharmonii boskie tony. Nie zauważył nas. Staliśmy zasłuchani kilka metrów od niego. Kiedy skończył, daliśmy mu brawa. Odwrócił się i powiedział smutno: „Knocę... wiem, że knocę, ale muszę grać... Jak gram, to zapominam o tym, czego nie lubię robić...”

Wstał i odszedł do swojej garderoby.

Zrobiło się smutno. Po tym, co usłyszeliśmy, mieliśmy prawo mieć żal do Pana Boga o to, że kazał Zielonce być pomocnikiem fryzjera, a nie wirtuozem.

Jak już wspomniałem, Piotrowski siedział odizolowany od reszty „hołoty”. Jak przystało na wodza rewolucji, jego wymagania rosły w miarę zbliżania się premiery. Kiedy uporał się z kostiumem, rozpoczął walkę z peruką. Prawdą jest, że zrobić dobrą perukę Lenina nie jest tak łatwo. Niby łysy, a niezupełnie. Jaki kolor włosów? Tego nie wie już nikt. Nawet ci, co widzieli go zabalsamowanego na Kremlu, mieli wątpliwości. Tak więc biedny Oskar Mandelzaft razem z Zielonką próbowali coraz to nowych wersji peruki. A kiedy po naklejeniu jej na głowę Piotrowskiego czekali na wyrok, słyszeli:

„To jest gówna, nie peruka!” – „Dobrze, zrobimy jeszcze jedną wersję”. Obaj zbiegali po schodach zaciskając zęby, żeby tylko wytrzymać do premiery.

Ja siedziałem w garderobie razem z Jurkiem Walczakiem. Obok nas rozkładał się nonszalancko na krześle pan Kazimierz Wichniarz, wyrzucając z siebie nienawiść do „tego gówna”, w którym musiał grać. Obok niego siedział Leon Niemczyk, który był człowiekiem bardzo pogodnego usposobienia. Ten niezwykle przyjaciel wszystkich kolegów nie znosił Piotrowskiego.

Kiedy Piotrowski wreszcie zaakceptował kolor włosów peruki, zaczął walczyć z tiulem, uważając, że jest ciągle widoczny i że za słaby mastyks nie dokleja go tak, jak należy. Stąd co chwilę z jego garderoby rozlegał się skrzek: „Zielonka, mastyks!”

Zielonka rozrzedzał, zagęszczał mastyksy, ale wszystkie wersje nie kleiły się tak, jak sobie tego życzył wódz rewolucji. Przez otwarte drzwi naszej garderoby widzieliśmy biednego Zielonkę, jak przygięty do ziemi pokonywał kilkoma skokami strome schody, aby poprawić „czołko”. Któregoś dnia zatrzymał się obok naszych drzwi, otarł rękawem oblaną potem twarz i dysząc ciężko wyrzucił z siebie.

– Panowie... co ja mam zrobić? Co ja mam zrobić?...

Leon Niemczyk wstał z krzesła. Chwycił Zielonkę w ramiona i syknął:

– Przypierdolić Lenina w czachę!

– Co pan! Panie Leonie... przecież nie wyszedłbym z więzienia... Bić Lenina... Nie!

Ledwie to powiedział, rozległ się skrzek Piotrowskiego:

– Zielonka, jak długo mam czekać?

I oto zbliża się upragniona premiera. Biegi Zielonki na górę nie ustały. Wprost przeciwnie – zwielokrotniły się. Również Leon Niemczyk nie zrezygnował z namawiania Zielonki do czynu heroicznego: „Przypierdol pan

Lenina w czachę!” I kiedy wydawało się, że premiera odbędzie się tak, jak obiecała towarzyszowi Wissarionowiczowi Dziunia, na ostatniej próbie generalnej usłyszeliśmy rozdzierający krzyk wodza rewolucji:

– Jezus Maria, biją Lenina...!

Poderwaliśmy się z krzesel i sadząc po kilka stopni wpadliśmy do garderoby, gdzie zobaczyliśmy taki obrazek: Piotrowski siedział na krześle z opadłą na pół twarzy peruką, spod której tryskały strugi krwi.

– Poprosiłem Zielonkę o doklejenie czoła – pośpieszył z wyjaśnieniem – a on chwycił mnie za uszy, uderzył twarzą o kolano i ryknął: „A teraz przypierdolę Lenina”.

Odwrócił się do Zielonki.

– Czy to były pana słowa?

– Tak... – odpowiedział półprzytomnie Zielonka.

Do garderoby wpadła jak bomba Dziunia. Stała za plecami Piotrowskiego i blada jak papier jęknęła:

– Towarzyszu sekretarzu, proszę się uspokoić i nie robić sprawy. Ja wszystko załatwię.

– Towarzysko dyrektor, w Teatrze Powszechnym uderzono w twarz Lenina!

– Jak to w twarz Lenina? Jeszcze nie byliście na scenie, tylko w garderobie, tu można mówić najwyżej, że Zielonka znieważył Pierwszego Sekretarza POP, ale nie Lenina...

W Piotrowskiego jakby piorun strzelił. Zerwał się z krzesła, zdarł z głowy perukę i potrzęsając nią ryczał:

– Coooo? To tylko peruka robi ze mnie Lenina?

– Towarzyszu Piotrowski, błagam... uspokójcie się.

– Proszę o zawiadomienie Sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, towarzyszkę Michalinę Tatarkówną, że w Teatrze Powszechnym uderzono w twarz Lenina.



Tragifarsy akt pierwszy

Pierwsza w nocy. Nikt nie opuszcza teatru. Dziunia zadzwoniła do Tatarkówny. Tatarkówna skonkludowała:

– Nie ma co dzielić włosa na czworo, rzecz w tym, jak to skończyć.

Sięgnęła po słuchawkę i nie bacząc, że jest noc, zadzwoniła „tam, gdzie trzeba” i poprosiła majora Józefa Płyte, szefa Urzędu Bezpieczeństwa, aby przyszedł na wypadek, gdyby trzeba było kogoś zdrutować. Ten, wybudzony ze snu, nie mógł pojąć, o co chodzi.

– Jakiego Lenina w mordę... Przecież on leży tam, w Moskwie.

Ponieważ Dziunia chciała nadać sprawie jak najdalej idącą jawność, kazała nam wszystkim zebrać się w teatralnej świetlicy. Przedstawiła przybyłych. Piotrowski miał ciągle przyschniętą krew na twarzy, bo nie pozwolił jej zmyć. W ręce trzymał perukę – koronny „dowód zbrodni”.

– W chwili kiedy mnie znieważono, byłem Leninem... Inna interpretacja to manipulacja i prowokacja.

– Więc co mam zrobić? – krzyknęła rozpaczliwie Dziunia. – Mam zabić Zielonkę?

– Chcę, by padły słowa, że w chwili uderzenia mnie w twarz byłem Leninem!

– No dobrze... był towarzysz Leninem.

– Ale ja chcę, żeby potwierdzili to moi koledzy.

Dziunia zwróciła się do sali.

– Koledzy! Czy kolega Piotrowski w chwili, kiedy mu rozbito nos, był Leninem?

Milczenie.

– Koledzy, co wam szkodzi przyznać Piotrowskiemu, że był Leninem?

Zespół pozostawał nieubłagany i odprawił ją złowrogim milczeniem.

Sekretarz Propagandy postanowił ukręcić łeb całej sprawie: „Ot, po prostu, znerwicowany młody człowiek uderzył w twarz aktora i za to powinien zostać ukarany wyrzuceniem z teatru. Spróbujmy zatem ustalić, kiedy aktor staje się postacią, którą gra. Bo to jest sprawa estetyczna, a nie ideologiczna”.

Na co Piotrowski rzucił bezczelnie: „Sprawa, towarzyszu sekretarzu, jest estetyczna i ideologiczna, został znieważony symbol. Dlaczego towarzysze próbujecie wszystko bagatelizować?

Słowa Piotrowskiego ożywiły szefa UB. Zwrócił się do Dziuni:

– Dlaczego ten Zielonka nie jest pod strażą? To jest zaniedbanie!

Dziunia wybiegła. Po chwili wróciła meldując:

– Zielonka jest w odosobnieniu. Został zamknięty w garderobie pod strażą Kosiorka!

Cisza. Konsternacja. W pewnej chwili major Płyta zrobił krok do przodu i bez wstępów powiedział:

– Panie Niemczyk, w czasie prób namawiał pan Zielonkę do aktu sabotażu. Do podważenia godności wodza rewolucji.

Zamurowało nas wszystkich. Oznaczało to, że ktoś mu o tym doniósł albo że byliśmy nagrywani.

Leon Niemczyk wstał gwałtownie i powiedział:

– Bo nikt nie uderzył Lenina, tylko Zielonka dał w mordę Piotrowskiemu za to, że nim poniewierał.

Płyta zaczął mówić prawie szeptem:

– Mam propozycję... Chcę jak najszybciej zakończyć tę sprawę. Zatem na moje pytanie: „Czy Piotrowski był Leninem?” proszę odpowiedzieć po kolei: „Był”. On niczego więcej nie pragnie, tylko satysfakcji. Daję wam piętnaście minut do namysłu.

Cała ta sprawa może dzisiaj wydawać się wręcz nieprawdopodobna. Jak ze złego produkcyjniaka, w którym oskarżano robotników o to, że nasrali do cementu i tym sposobem spowodowali zawalenie się stropów. A jednak wszystko, co tu przytaczam, jest prawdziwe. Trzeba pamiętać, że był to rok 1953, tuż po śmierci Stalina. Siedzieliśmy więc jak zbite kundle. Leon Niemczyk chciał się poświęcić i iść do więzienia. Pan Kazimierz Wichniarz swoim basem warknął: „Nie dać się skurwysynowi”. Pomału jednak emocje opadały i w konsekwencji górę wziął strach, czego nie zrozumie ten, kto nie żył w czasach stalinizmu.

Na pytanie majora Płyty: „Czy w chwili uderzenia w twarz towarzysz Piotrowski był Leninem?” padło dwadzieścia pięć odpowiedzi: „Był”.

• • •

Nigdy już nie usłyszałem Zielonki grającego na fisharmonii. Został ukarany wyrzuceniem z teatru. Pamiętam, że w poczuciu krzywdy, jaka go spotkała, zbieraliśmy nawet pieniądze, by mu pomóc. Nie przyjmował... Bo Mirosław Zielonka to był ktoś.

Tak, Panie Mirosławie. Nie wiem, co się z panem dzieje. Czy pan jeszcze tłucze się po tym bożym świecie? Nieraz myślę o Panu. To był czyn bohaterski! W czasie największego stalinowskiego terroru zdobyć się na coś takiego... Stał się pan większy niż życie. My niestety nie.

Moja pierwsza rola

W latach 1945–1949 Łódź była mekką polskiego teatru, do której zjechało wszystko co najlepsze, tworząc legendę. Tutaj po wyzwoleniu zatrzymali się reżyserzy: Leon Schiller, Bohdan Korzeniowski, Edmund i Maria Wiercińscy, Karol Borowski, Jerzy Kreczmar i wielu innych. Z aktorów: Jan Świdorski, Henryk Borowski, Jan Kreczmar, Jacek Woszczerowicz, Czesław Wołłejko i Ryszarda Hanin.

W miarę odbudowywania stolicy wszyscy oni odpłynęli do Warszawy, zostawiając w Łodzi pustynię teatralną. Na ich miejsce przybyli później inni. Pan Iwo Gall objął dyrekcję teatru imienia Stefana Jaracza. Przywiózł ze sobą z wybrzeża młody, ambitny zespół, który stanął przed wielkim wyzwaniem. Przyszło mu zmierzyć się z legendą Wielkich.

Pani Gallowa, jego żona, która była profesorem dykcji w szkole aktorskiej, wybrała dwóch moich kolegów i mnie do statystowania w roli muzykantów z fujarkami w przygotowywanej przez jej męża inscenizacji *Wieczoru Trzech Króli* Szekspira. Otworzyło się nade mną niebo. Nareszcie zetknę się z teatralną rzeczywistością.

Iwo Gall postanowił zagrać o wszystko. Zaczął od szokującej obsady. W roli Tobiasza Czkawki obsadził Władysława Waltera. Kto dzisiaj pamięta tego olbrzyma o potężnym bandziochu i wielkiej głowie przypominającej przejrzalą dynię? Ten król estrady rozśmieszał ludzi do łez grając pijanych dorożkarzy, dozorców, szewców, różne ludzkie szmaty przesiąknięte do trzewi alkoholem. Czy to nie wymarzony Pan Tobi, jakiego namalował Szekspir?

Na jego partnera, w roli Andrzeja Chudogęby, Iwo Gall wybrał Ludwika Sempolińskiego. Strzał w dziesiątkę! Podobnie jak Walter, pan Ludwik rzadko występował w teatrze, królując na estradzie. Co tu gadać. Duet królewski!

Obsada ustalona. Próby. Wielka radość tworzenia! Z jakim szacunkiem Iwo Gall traktował wysiłek aktorski! Pozwalał aktorowi otwierać się. Nie „wyciskał kolanem” natychmiastowego rezultatu. Umiał czekać. Wiedział, że od skali dokonań aktorskich zależy sukces przedstawienia. Sukces, który był mu potrzebny jak nigdy dotąd.



„Wieczór Trzech Króli” – forte fortissimo radości życia!

Nie sposób opisać, co obaj mistrzowie estrady wyprawiali na scenie rywalizując ze sobą. Wymyślając coraz to nowe, zaskakujące sytuacje, okraszane tym, co w potocznym języku nazywa się „gierami”. *Wieczór Trzech Króli* to urocza komedia, łącząca liryzm z rubaszością. Sytuacje, jakie im stwarza Szekspir, graniczą z błazenadą. Nieomal cyrkiem. Właśnie! Gdzie leży granica między ostro graną komedią a błazenadą?

Obsługa planu, garderobiani, rekwizytorzy, w ogóle wszyscy ludzie zza kulis, którzy są solą teatru, nie mogli oderwać oczu od aktorów, kiedy Tobiasz Czkawka wykonywał taniec *jig* z gracją niedźwiedzia, a Andrzej Chudogęba, gnąc się na wszystkie strony, nabierał gwałtownego przyśpieszenia i przelatywał przez scenę, zatrzymując się dopiero w kulisie. To nie były giery. To było *forte fortissimo* radości życia!

Iwo Gall nie robił specjalnego przedstawienia dla prasy. Uważał, i słusznie, że recenzenci powinni być na premierze i oglądać przedstawienie w temperaturze widowni. Wszyscy recenzenci wszystkich łódzkich gazet – nie będę wymieniał nazwisk, bo są już w niebycie i trudno znaleźć ich nazwiska w encyklopedii – zjawili się na premierze. Widownia szalała. Brawa za brawami przy otwartej kurtynie. Aktorzy wychodzili do ukłonów kilkanaście razy. Kurtyna wznosiła się i opadała. Kwiaty. Kwiaty. Kwiaty.

No i teraz... Pan Leopold Beck, „najbardziej opiniotwórczy” recenzent w łódzkim „Expressie Wieczornym”, tak oto skwitował to piękne przedstawienie: „Błazenada, cyrk. Cyrk w wykonaniu estradowej pary, do której się dostroiła reszta towarzystwa”.

Był to tak druzgocący cios dla aktorów, że następne przedstawienia przypominały stypę pogrzebową. Nigdy nie przypuszczałem, że słowo pisane może tak strasznie zdruzgotać doświadczonych i uwielbianych aktorów.

Właściwie w tym punkcie mógłbym skończyć opowieść o mojej pierwszej teatralnej przygodzie, ale byłaby ona niepełna, gdybym nie dopisał do niej *post scriptum*.

• • •

Recenzję Leopolda Becka przeżyłem bardzo. Nie mogłem się pogodzić z pogardą, z jaką krytyk odniósł się do pracy scenicznej pana Waltera. Ból ten potęgowało uczucie wdzięczności do Mistrza, ponieważ Mistrz Walter obdarzył mnie szczególnymi względami. Przed każdą próbą wciskał mi do rąk paczkę z kielbasą, szynką, salcesonem albo kaszanką, mówiąc: „To dla ciebie i twoich kolegów. Jesteście takie chudziny, że aż strach na was patrzeć”. I tak było codziennie, przez kilka miesięcy prób.

Na kilka dni przed próbą generalną pan Walter oprócz paczki z wędliną dał mi butelkę owiniętą w papier. Potrząsnął nią i zaśmiał się.

– W tej butelczynie są moje siki – powiedział zniżając głos. – Zanieś to kochasiu do laboratorium. Nie chcę się tam pokazywać sam, bo zaraz dorobią: „Z Walterem marnie, skoro musi oddawać urynę do wróżki”.

Wykonałem polecenie z przyjemnością. Dwa dni później odebrałem z laboratorium kopertę z wynikami. Podąłem mu na próbie. Chwycił ją gwałtownie. Przeczytał. Twarz mu zwiędła. Ale szybko się opanował. Ciosy

pana Becka pan Władysław też przyjął w milczeniu. Skurczył się, jakby wypuszczono z niego powietrze.

Którejś nieprzespanej nocy sięgnąłem do książki Hoesicka pod tytułem *Kopernik fortepianu*. Jest tam recenzja pióra niejakiego Ludwika Rellstaba, wtedy trzydziestotrzyletniego młodzieńca, ale już uznanego w Berlinie za „wybitnego krytyka muzycznego”. Mierny jako twórca powieści, nowel, librett operowych, człowiek bez sukcesów, co mu nie przeszkadzało mieć wielkie poważanie w świecie muzycznym. A oto co napisał, a właściwie wypłuł z siebie o *Wariacjach* Chopina na temat *Don Giovanni* Mozarta:

„Pan Chopin prawdopodobnie jest Polakiem, co łatwo rozpoznać po wandalizmie, z jakim potraktował melodie Mozarta. Nie tylko dowodzi to braku talentu, ale też pozwala przypuszczać, że utwór ten narodził się pośród pijanych w sztok Słowian”.

A o mazurkach Chopina pisze tak:

„Polski kompozytor ugania się za rozdzierającymi uszy dysonansami, karmi nas rażącymi modulacjami, nieznośnie wykręca melodie i ma pogardę dla rytmu, nazywając to kalectwo *tempo rubato*. Gdyby pan Chopin dał kompozycję do przejrzenia jakiemuś mistrzowi, ten prawdopodobnie rzuciłby mu ją rozdartą na strzępy pod nogi, co my niniejszym robimy”.

Mistrzu Władysławie – pomyślałem – ja nie mogę zdjąć z Pana serca bólu. Ale może ten pan Beck jest człowiekiem, któremu Bóg poskąpił talentu i kazał całe życie żuć gorzki brak sukcesów... No bo przecież pije na umór. Nigdy nie trzeźwieje... A może gdyby fortuna uśmiechnęła się do niego, nie byłby zjadliwym krytykiem, tylko wspaniałym pisarzem albo aktorem dającym ludziom wzruszenia. A tak pisze w nędznym łódzkim „Kurierku” i mści się za niełaskawość Boga...

Przedstawienia zaczęły iść swoim torem. Były jednak smutne. Odarte z glorii, która jest tak potrzebna aktorowi. Nie tylko aktorowi. Każdemu

człowiekowi! Jak pięknie powiedział Van Gogh: „Artysta może żyć bez chleba, chodzić w podartych trzewikach, ale nie może żyć bez glorii”. I tę glorię zabrano wykonawcom *Wieczoru Trzech Króli*.

Psychiczną dewastację najbardziej było widać u pana Waltera. Przestał śmiać się. Sypał się w tekście. Gubił puenty. Biegł z tekstem, aby jak najszybciej pójść do domu. Niezmiennie jednak pamiętał o nas. Duża paka z wędliną co wieczór wędrowała do moich rąk.

Któregoś wieczoru razem z paczką pojawiła się butelka. Bez słowa zrozumiałem, o co chodzi. Zaniósłem ją do laboratorium. Trzy dni później poszedłem po wyniki. Otrzymałem je w niezaklejonej kopercie. Była sobota. Wieczorem nie graliśmy. W niedzielę też. A poniedziałek był dniem wolnym. Kiedy więc dostarczyć wyniki? Zbliżał się wieczór. Stałem na chodniku zagubiony. Otworzyłem kopertę. Przeczytałem wynik analizy. Słowa „liczne krwinki w moczu” przejęły mnie trwogą. Postanowiłem dostarczyć kopertę niezwłocznie. Zadzwoiłem, czy mogę przyjść.

Wszedłem w obskurną bramę. Narutowicza 27 mieszkania 18. Mroczno. Wszystko przezarte grzybem i wilgocią. Przeszedłem przez podwórze pełne smutku. Potem ciemna klatka schodowa. Stopnie schodów wydeptane. Trzecie piętro. Wizytówka. Władysław Walter. Nacisnąłem dzwonek. Nie musiałem długo czekać. Drzwi otworzyła mi zażywna kobieta w średnim wieku, o czerstwej, chłopskiej twarzy.



Władysław Walter jakiego nie znamy

Pokój, do którego wszedłem, był duży i zagracony. Okna zasłonięte ciężkimi kotarami. Czerwona kanapa, przykryta niedźwiedzią skórą, służyła

widocznie Mistrzowi za łóżko. Siedział on przy stole, zapadnięty w pluszowe siedzenie wielkiego fotela. Miał na sobie stary, zniszczony szlafrok, narzucony na nocną koszulę. Przed nim na stole stały dwa talerze, z rozłożonymi obok srebrnymi sztućcami. Wyraźnie czekał na mnie. W plecionym koszyku leżakowało pół bochenka świeżego chleba. Wymyślnych kształtów karafka była wypełniona alkoholem. Obok stołu, na zgrabnym pomocniku, stał jednoramienny świecznik. Płomień świecy chybotał się niespokojnie, rozpraszając mdłym blaskiem gęste cienie. Byłem zaskoczony. Odniosłem wrażenie, że znalazłem się nagle w teatrze i za chwilę wezmę udział w jakimś przedstawieniu.

Pan Walter poderwał się z fotela. Podbiegł do mnie. Objął ramionami. Ucałował z dubeltówki i posadził na krześle naprzeciwko siebie. Był wyraźnie po paru głębszych. Obracałem w palcach kopertę, ale nie miałem odwagi mu jej podać. Czekałem na jego reakcję. A on jakby w ogóle nie domyślał się, z czym przyszedłem. Odwrócił się za siebie i huknął:

– Pani Mario, proszę podawać golonkę. – Puścił oko do mnie. – Będziesz konsumował litewską specjalność według receptury mojego wielkiego przyjaciela księcia Kiejstuta Skiergiełło. Panie Boże świeć nad jego duszą. Wątroba nie wytrzymała i odfrunął...

Zaśmiał się nerwowo i po raz pierwszy rzucił okiem na kopertę w moich dłoniach. Ale ciągle nie objawiał chęci zapoznania się z jej treścią. Do pokoju weszła kobieta. Wniosła wielki półmisek z dwoma parującymi golonkami. Szykowała się do rozłożenia ich, ale pan Walter powiedział szybko:

– Dziękuję, jest pani wolna. Damy sobie radę sami.

Pan Władysław rozłożył zręcznie golonki na oba talerze. Rozlał nalewkę do kieliszków. Wzniósł swój do góry.

– No to twoje zdrowie... i moje! Bo jest ze mną niedobrze młody przyjacielu.

Łapczywie wchłonął alkohol. Szybko napelnił oba kieliszki i nie czekając na mnie opróżnił swój łapczywie. Uderzył mnie jego głód alkoholu. Odłożył kieliszek. Przelotnie spojrział na kopertę.

– Widzisz, synku, ja jestem takim z trzeciej ligi od grubych skeczy. Od odstawiania pijanych dupków, którymi rozśmieszałem przez całe lata gawieź po kabaretach i estradach Polski...

Przerwał. Posmutniał. Sięgnął po kopertę, która leżała przede mną na stole.

– To są wyniki z laboratorium?

– Tak.

– Czytałeś je?

– Nie – skłamałem.

– To i dobrze.

Przez chwilę trzymał kopertę w palcach, po czym położył ją przed sobą. Sięgnął jeszcze raz po karafkę. Rozlał. Trzymając kieliszek w dłoni przychylił się do mnie.

– Powiedz mi... Co to za miejsce, do którego ulatuje nasza dusza? Bo mimo ciągłych wątpliwości chcę wierzyć, że w naszym plugawym ciele mieszka coś takiego, jak dusza. Tylko dokąd ona się udaje po naszej śmierci? Jedni nazywają to światem pozagrobowym... Inni światem niematerialnym... A mędrcy wszystkich kościołów świata, spryciarze, mówili o tym: „Piekło”, „Niebo”, „Czyściec”, aby tymi pojęciami straszyć maluczkich. Mieli fantazję, co?

Westchnął głęboko. Sięgnął po kopertę. Czając się, jak karciarz badający, jaką dostaje kartę, wyciągnął kartkę z koperty i wolno spojrział na jej treść. Długo trwał w milczeniu, po czym schował kartkę do koperty. Rozlał nową porcję alkoholu. Wypił. Nie proponował, abym mu towarzyszył. Zdawało mi się, że był daleko. Nagle otrząsnął się i powiedział spokojnie:

– Czy to możliwe, że nasze życie tu, na ziemi, to wszystko, co nam dano?
A potem już nie ma nic?

– Wolałbym się nie wypowiadać, ponieważ ciągle się spieram z Panem Bogiem i mogę być niesprawiedliwy w sądach.

– Dobrze. Omińmy więc Boga i postawmy pytanie inaczej: Czy w tej nieokreślonej przestrzeni pozaziemskiej istnieje siła, która zmusi człowieka do rozliczenia się z ziemskich podłości? Czy też wraz ze zgaśnięciem po równo szlachetni i nikczemni zamienią się w kupę gówna?

– Nie wiem, Mistrzu.

– Ja też nie wiem. Ale niedługo się dowiem.

Wychylił kielich, krzywiąc się.

– Mistrzu, po co te czarne myśli. Wszystko będzie dobrze.

– Z czym? Z moimi sikami pełnymi krwi... Ale dajmy temu spokój. A teraz powiedz mi szczerze, czy ja naprawdę tak strasznie gram Tobiasza Czkawkę?

Nie mogłem czekać dłużej i wyrzuciłem z siebie to wszystko, co przygotowałem dla niego i dla innych. Wyciągnąłem z kieszeni kartkę i powiedziałem:

– Niech pan posłucha, Mistrzu. Recenzja o Chopinie. Ukazała się 28 października 1841 roku, w londyńskim „Musical World”, uznawanym za najbardziej wpływowe muzyczne pismo w Europie. Proszę...

Zacząłem czytać: „Fryderyk Chopin osiągnął rozgłos niebywały, co trudno zrozumieć, skoro nie mogą tego dokonać kompozytorzy dziesięciokrotnie bardziej utalentowani niż on. O ile zdarza mu się czasami być nienajgorszym pianistą, jako kompozytor jest niedojrzały i ograniczony. Chopinowi nie brak pomysłów, ale nigdy nie przekraczają one ośmiu albo szesnastu taktów. W jego harmoniach widzi się niezręczność. W muzycznych frazach afektowane dziwactwo. We wszystkich większych utworach całkowita ignorancja linii melodycznej i pogoń za oryginalnością, która okazuje się

supłowata, niedojrzała, niestrawna! Krótko: Wszystkie dzieła pana Chopina reprezentują pstrą paletę napuszonej przesady i męczącej kakofonii, przez co staje się nieznośny, męczący i śmieszny!”

Pan Walter ciągle milczał.

– No i co Mistrzu? Myślał pan, że Rellstab osiągnął dno ludzkiej podłości? Nie! Można pójść jeszcze głębiej. Niech pan posłucha: – Wprawdzie istnieje usprawiedliwienie dla przestępstw Chopina. Jest on w sidłach arcyuwodzicielki George Sand, znanej z romansów z tuzinami kochanków. Dziwi nas tylko fakt, jak ona, która kiedyś owładnęła sercem genialnego Alfreda de Musseta, może pozwolić sobie na trwonienie swej macierzyńskiej osobowości przez takie muzyczne zero jak Chopin!

Skończyłem. Milczenie... A potem usłyszałem:

– Mógłbyś z tym występować na estradzie. Dziękuję ci... Ale czy to zmieni smutną prawdę, że jakiś palant napisał: „Władysław Walter zagrał Tobiasza Czkaawkę na poziomie dywanowego z cyrku...”? No to łap się za szkło! Wypijmy za eunuchów, którzy wiedzą jak, tylko nie mają czym.

Wracałem do domu dryfując niebezpiecznie. Byłem szczęśliwy.

Na następnym przedstawieniu w panu Walterze nastąpiła metamorfoza. Grał jak zwykle genialnie. Przed każdym przedstawieniem wciskał mi pakę z żarciem. Do naszego spotkania już nigdy nie wrócił. Ale patrząc na mnie z niezmienną życzliwością robił „perskie oko”, co miało oznaczać: „Byczo jest. Odnalazłem spokój ducha!”

Niestety nie na długo. Wkrótce rozwinęło się to, co wcześniej czy później dorwie każdego z nas, przybierając różne twarze. Zestaw powodów wymeldowania z miejsca zamieszkania nazywanego życiem jest nieograniczony. Jak mówią Hindusi: „Nie będzie ani dłużej, ani krócej, tylko tyle, ile wyznaczył ci Bóg!”

Kochany Panie Władysławie. Gdziekolwiek jesteś, chcę Ci powiedzieć, że nie zapomnę Twojej wielkoduszności. I że nigdy się nie wypłacę za te paki z kielbachą! A rozmowę naszą będę pielęgnował w ogródku uczuć, aby nie zwiędła, póki żyć będę!



Boguś Sochnacki – człowiek przynoszący szczęście

Jestem przesądny. Wierzę, że są ludzie przynoszący szczęście i są tacy, którzy je odpychają. Boguś Sochnacki był moją supergwiazdą w tym względzie. Mając go przy sobie nie miałem najmniejszej wątpliwości, że wszystko mi się uda. I udawało się. Był wspaniałym aktorem, a ponadto moim największym przyjacielem. Przyjaźń ta ciągnęła się nieprzerwanie od 1945 do 2005 roku, kiedy został odwołany z aktorskiej służby do innego świata. Ale ja tego faktu nie akceptuję. Wspierał mnie w tym Ryszard Kapuściński. W jego *Lapidariach* czytamy:

„Wspominając naszych niedawno zmarłych, Hania Krall pokazuje na wewnątrz kawiarni, w której siedzimy, i pyta:

– I wierzysz, że ich duchy tutaj krążą?

– Nie, nie wierzę – odpowiadam – ponieważ oni dla mnie nie umarli. Mogę spotykać się z nimi i rozmawiać”.

A więc mając świadomość, że nic się nie zmieniło i że Boguś patrzy mi prosto w oczy z ekranu komputera, spróbuję opowiedzieć, czym szczególnym wyróżniła się nasza przyjaźń. I jakie znaczenie dla naszych losów w sztuce miały jej barwne epizody. Choćby to, że przez cztery lata Wyższej Szkoły Aktorskiej spaliśmy w jednym łóżku „na waleta”. Ciągłe nie mogliśmy ustalić,

czy ja śpię w nogach Bogusia, czy on w moich. Zmusił nas do tego Franek Paputa, inaczej „Kinol” – król Zielonego Rynku w Łodzi.



Uroki Zielonego Rynku

Oszczędzając pieniądze, chodziliśmy po zakupy na Zielony Rynek, położony o kilkaset metrów od naszej uczelni przy Gdańskiej numer 32. Był rok 1949 i z Ziemi Odzyskanych płynęły do centralnej Polski strumieniami zagrabione albo kupione za bezcen różne przedmioty. Zielony Rynek w Łodzi był oazą szabrowanego luksusu, kipiącą od handlarskiego półświatka, w którym złodzieje i „córy Koryntu” były jak sól ziemi czarnej tych czasów. Stały tu również stragany żywnościowe, pełne warzyw, pieczywa, mięsa. Wolności było coraz mniej, ale mięsa i wędlin nie brakowało. (Były to czasy, kiedy jeszcze nie uszczęśliwiliśmy komuną Kuby i Afryki).

Lubiliśmy wdychać rynkowy smrodek. Wsłuchiwać się w jarmarczny jazgot skrzypiec, harmonii, gitary. Uliczny śpiew miał niepowtarzalny koloryt. Boguś burzą rudych, kręconych włosów i piegami zwracał na siebie uwagę. Wiem, że go to drażniło, chociaż – jak mi kiedyś wyznał przy kielichu – z wolna oddalał od siebie przykre wspomnienia dzieciństwa, kiedy rude włosy i piegi bywały przedmiotem wstrętnych komentarzy.

Któregoś dnia, obładowani zakupami, stanęliśmy przy magiku nabierającym frajerów na trzy karty.



Boguś zwycięzca!

Mistrz ceremonii był to mężczyzna lat czterdziestu, z czerwoną albo – jak się mówi potocznie – „ryżą” głową. Mistrz karcianej żonglerki miał spłaszczony nos i małe, sprytne oczy, mrugające porozumiewawczo do otaczających go gapiów. Uwagę zwracał jego dziwny ubiór. Stary surdut z dziurami na łokciach. Koszula brudna. Wytłuszczona. Zalaatywało od niego wódką.

Mistrz rozpoczął szufłowanie trzech kart, z jedną naznaczoną do odgadnięcia.

– Czerwona wygrywa, czarna przegrywa. – Rozejrzał się po tłumie. Zauważył Bogusia. – O krótki szpic... Dlaczego Pan Bóg nie dał mi tak złotego uwłosienia, tylko wylał mi na łeb kubel czerwonej farby i kazał żyć z tą szajsą! – Szarpał z furią swoje włosy na głowie. – No więc kolego, skoro jesteś tak pięknie pomalowany i nikt nie powie o tobie tak, jak o mnie, „ryży”, tylko „ten złotowłosy”, spróbuj, czy masz szczęście? – Rozrzucił karty i zrobił do Bogusia oko, co miało oznaczać: „Wygrasz!”

Boguś wyciągnął z kieszeni kilka banknotów. Wysupłał jeden i położył na kartę. Mistrz wydał okrzyk:

– O krótki szpic... Wygrał! – Wypłacił należność. – No co, złotowłosy, grasz dalej?

– Gram!

Mistrz rozrzucił karty. Tym razem zrobił to znacznie szybciej. Boguś bez wahania rzuca pieniądze na kartę, którą uważa za zwycięską, i... wygrywa. Mistrz jest niemile zaskoczony. Po raz trzeci wyrzuca z siebie okrzyk: „O krótki szpic...” I kiedy Boguś szykował się do czwartej kolejki, mistrz podskoczył do niego i coś mu szepnął do ucha. Boguś zmieszał się i szarpnął mnie za rękaw.

Odeszliśmy na bok.

– Co ci powiedział?

– Spierdalaj piegusie, bo ci porysuję mordę!

Przeciskając się przez tłum zapytałem:

– W jaki sposób tak trafiałeś? Uczył cię kto tego?

Boguś uśmiechnął się, ale nim zdążył odpowiedzieć, wyrósł przed nami olbrzymi mężczyzna. Wojskowy szynel, wyraźnie o dwa numery za mały, rozsadzał jego potężne bary. Gęste, krótko strzyżone włosy ledwie odkrywały niskie czoło. Czarne, groźne oczy, ukryte w gęstych brwiach. Spomiędzy nich wyrastał, jak sękaty konar, nos. Nie nos – kinol. A wszystko osadzone na byczym karku. Zahuczał basem.

– Szukasz roboty?

– Nie, mieszkania.

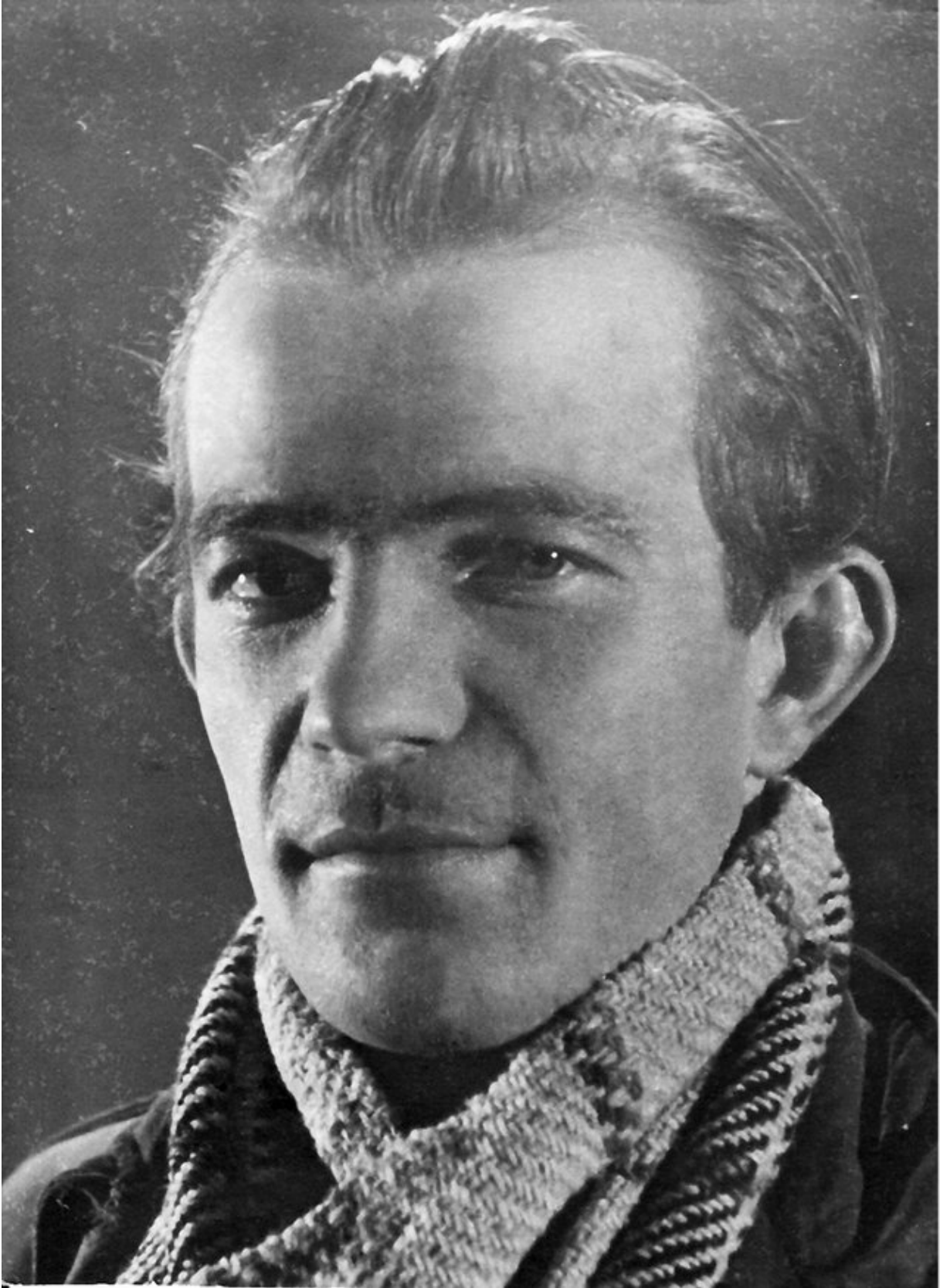
– Dobrze, dostaniesz je za darmo, ale muszę się dowiedzieć, jakim cudem obstrugałeś Zaskrońca.

Chwycił w paluchy trzy karty i krzyknął w stronę Bogusia wyzywająco:

– Mieszkam niedaleko, przy Legionów. Jak kiwniesz mnie trzy razy z rzędu, przez rok będziesz mieszkał u mnie za frajer. Szybko przerzucił karty i wycelował wskazujący paluch w Bogusia. – No... wal!

Boguś bez wahania podniósł oznaczoną kartę. I tak było trzy razy z rzędu. Zamiast się zdenerwować, nieznajomy huknął:

– Chodź... pokażę ci mieszkanie!



Student pierwszego roku Wyższej Szkoły Teatralnej



Mój dyplom aktorski – Jak hartowała się stal według książki Mikołaja Ostrowskiego



Ten, co przynosi szczęście – Boguś Sochnacki – i ja w Jak hartowała się stal



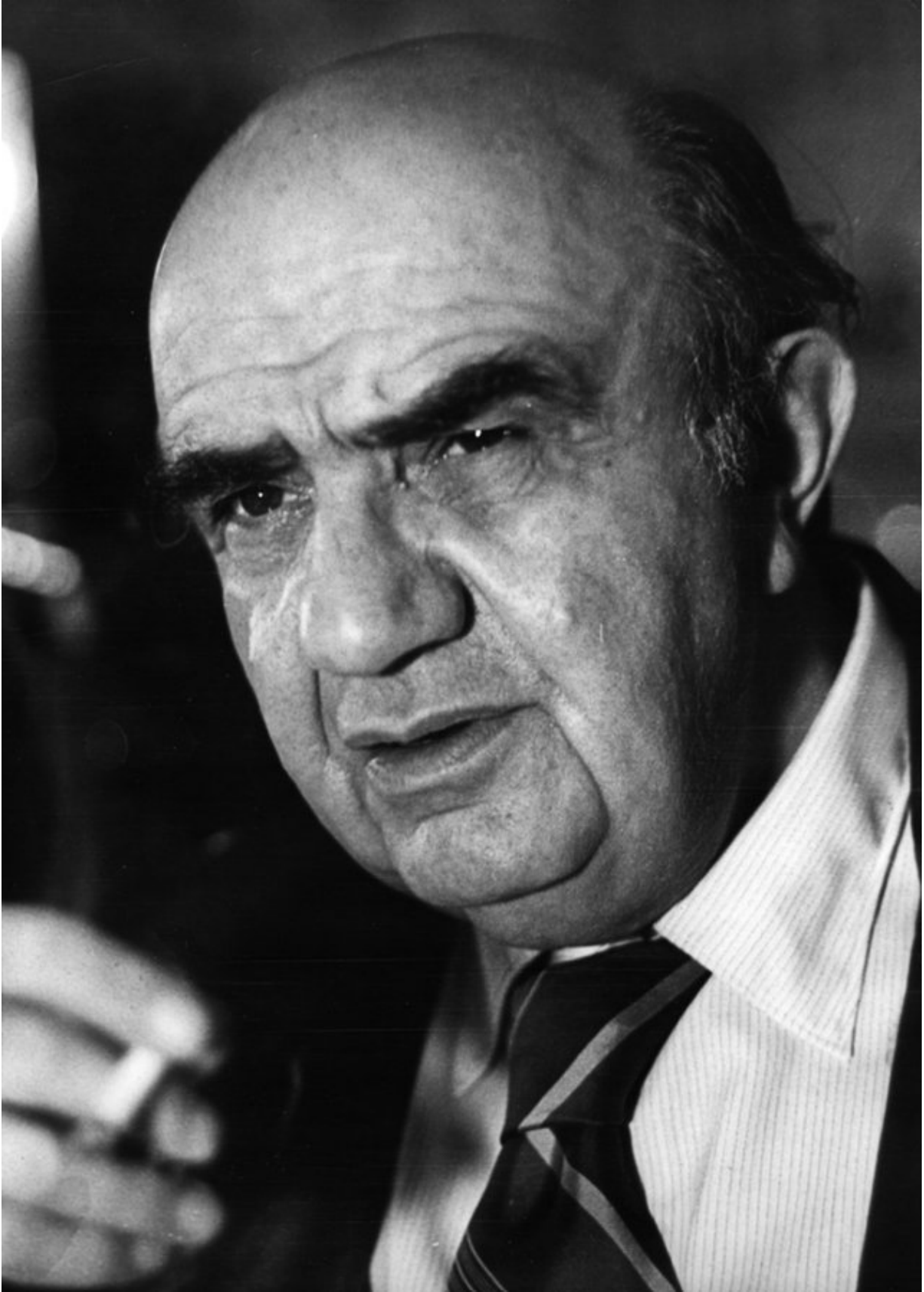
*Praca dyplomowa mojego wielkiego przyjaciela ze Szkoły Filmowej – Daniela Szylita –
Uliczny grajek*



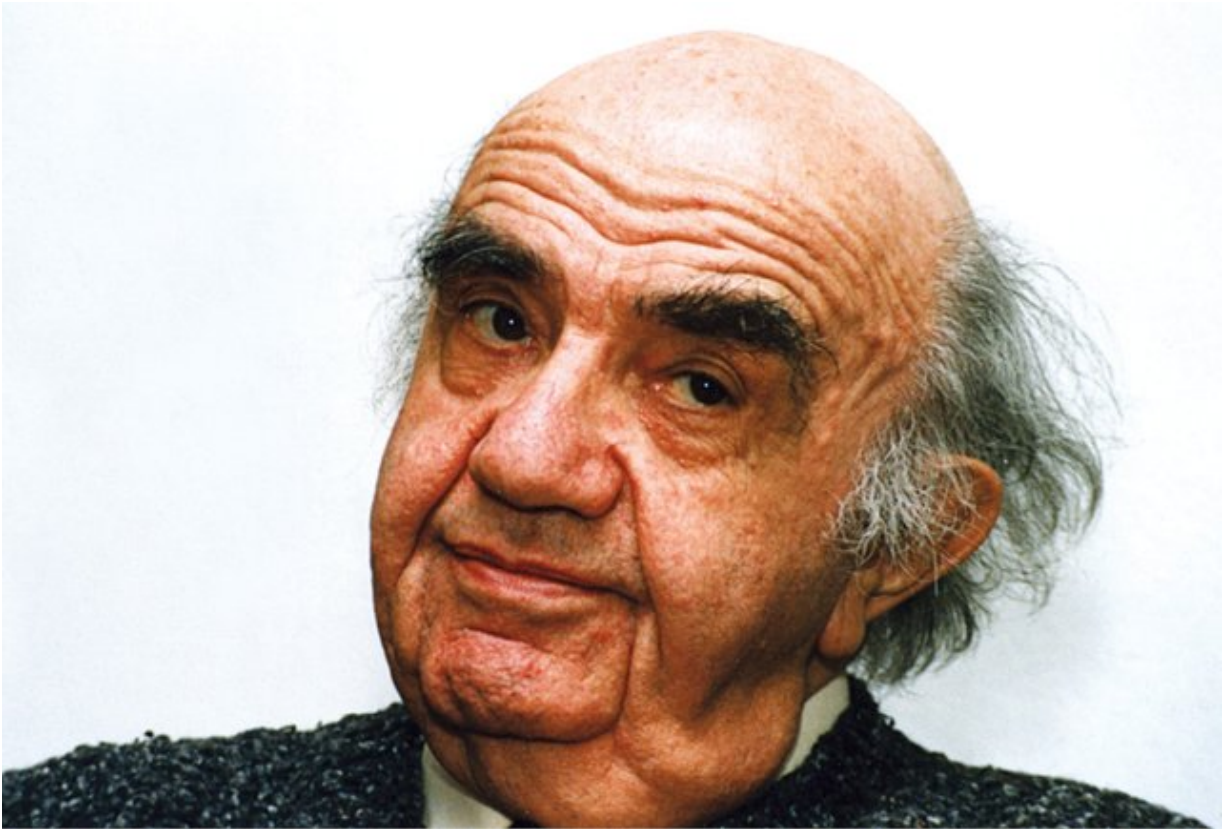
Leś Niemczyk i ja. Teatr Powszechny Łódź. Dom na Twardej Kazimierza Korcellego



*Zakuty w żelazo u Dejmka w spektaklu Ciemności kryją ziemię Jerzego
Andrzejewskiego, snulem plany, jaki będzie mój Teatr Telewizji.*



Profesor Aleksander Bardini...



...Człowiek, który otworzył mi Kosmos.



Kinol, król Zielonego Rynku

I tak zawarliśmy znajomość z królem Zielonego Rynku, Kinolem, który naprawdę nazywał się Franek Paputa. Do niego należały wszystkie stoliki do gry w trzy karty. On „przydzielał” miejsca na stragany. Jemu podlegali sprzedawcy różnych mikstur oraz handlarze walut i kradzionej biżuterii.

Odwracał się w lewo i prawo.

– Połowa tej hołoty biega w mojej stajni. – Wskazywał co chwilę jakąś figurę. – Dupek Żołędny, Dzwoniec, Ryj, Lord, Kret. Każdy z nich pracuje dla Frania Paputy. Ale rynek już mnie nudzi. Ciągłe te same mordy. Zaczynam się przerzucać na dzieła sztuki. A panowie w czym robią?

– Jesteśmy studentami pierwszego roku Wyższej Szkoły Aktorskiej.

– O, znaczy artyści? – Szarpnął Bogusia za rękaw. – Ty naprawdę nie ćwiczyłeś trzech karcioszek? I trafiasz tak ze szczęścia? O żeby cię... Szwoleżer z takim fartem może mi się przydać!

Podeszliśmy do starej, XIX-wiecznej kamienicy. Ciężka, żelazna brama. Sień wielka, chłodna, ozdobiona płaskorzeźbami. Schody kamienne. Drewniana balustrada wyślizgana od uścisku dłoni. Trzecie piętro. Weszliśmy do rozległego kompleksu mieszkalnego. Wysokie sufity. Amfilady. Wykwintna tapeta. Pluszowe kotary. Pięknie upięte firanki. Antyki. Obrazy w złotych ramach. Nieomal muzeum! Przywitała nas baba olbrzym. Wszystko w niej było wielkie – i głowa, i nogi, i ręce. Usta pełne. Górna warga pokryta wyraźnym wąsem, domagającym się brzytwy.

Kinol poinformował ją, kim jesteśmy i po co nas przyprowadził. Obciął nas nieprzyjaźnie.

– Uuu... chcecie zostać aktorami? – Skrzywiła się pogardliwie. – I co? Ten idiota – wskazała na męża – obiecał wam mieszkanie przez rok za frajer? I wy w to uwierzyliście?

– Nim zdołaliśmy coś powiedzieć, Kinol nastroszył się.

– Elwira! Będą tu mieszkać, bo ten ze złotym upierzeniem jest fartowny. Kropka!

W powietrzu zawisło coś groźnego. Babsztyl wyduł wargi. Długo coś żuła, po czym warknęła.

– Dobrze. Będziecie płacić połowę. Sto pięćdziesiąt złotych.

Odeszła. Miała na sobie luźny szlafrok z trenem. Szła ciężkim krokiem osoby z dużą nadwagą i dopiero od tyłu można było ocenić jej nieforemną bryłę ciała.

Pokoik, w którym mieliśmy zamieszkać, był służbówką, gdzie stało tylko jedno łóżko i od biedy można było postawić drugie. Tylko gdzie postawić stolik? Wszystko nagle wydało mi się odpychające. Chciałem wyjść, ale Kinol odczytał moje myśli.

– Za mieszkanie nie zapłacicie ani grosza. To, co dacie tej jędzy, mojej żonie, ja wam przyniosę w zębach! Tu jest pierwsza rata.

Wyszarpnął z kieszeni garść pieniędzy. Odliczył sto pięćdziesiąt złotych i wręczył je Bogusiowi. Kiedy się wzbraniał, powiedział rozbijając:

– Za kilka dni zaczynam sprowadzać z Zachodu stare meble, obrazy, fortepiany. I potrzebuję koło siebie kogoś, kto ma farta. Ale ona tego nie rozumie. Ona niczego nie rozumie. – Szarpał Bogusia za ramiona. – Chcę, żebyś był blisko mnie i wysyłał dobre myśli!

Kinol miał niebywały wdzięk. Uznaliśmy, że nie wolno go zostawić. Zgodziliśmy się zamieszkać. Choćby dla samego sprawdzenia, jak się to skończy.

Kinol rozpoczął szaber w wielkim stylu. Któregoś dnia oznajmił, że chce nam pokazać kolekcję klejnotów, jakie „wyszarpał” z niemieckich pałaców. Zaciągnął nas do olbrzymich magazynów, gdzie stały rozstawione wielkie, drewniane skrzynie. Klepał pieśczośliwie nieheblowane dechy i rżał.

– Zaraz wam, chłopcy, zwiędną gały! Rozwalać pudła!

Jak dyrygent orkiestry dał znak ręką i kilku robotli rozpoczęło rozbijanie skrzyń. Ze skrzyń wynurzały się lustra, konsole, komody, stoły, kanapy, szeszlony z wysokimi oparciami dla odpoczynku, fotele różnych rozmiarów i kształtów. A wszystko w najlepszym smaku, pełne złocień i bogatych inkrustacji. Do tego obrazy w złoconych ramach, kandelabry, kinkiety, świeczniki, postumenty, portrety pięknie oprawione... Wkrótce bogactwo przedmiotów zamieniło obskurną halę w świątynię sztuki. Kinol robił do nas oko i parskał.

– No i co dupki? Wy wiecie, ile to jest warte?

Ujmował Bogusia za ramiona i szeptał czule:

– Przyniosłeś mi szczęście!

Przy ulicy Legionów mieszkaliśmy za frajer cztery lata!



Drugie dno Kinola

Wiedzieliśmy z Bogusiem, że życie Kinola musiało kryć jakieś tajemnice i że jego gest w stosunku do nas ma drugie dno. Któregoś dnia Kinol „pękł”.

„Jestem synem kościelnego ze Zgierza. Ojciec pijak podbierał pieniądze z kościelnej tacy, a matka wyznała to na spowiedzi. Proboszcz wyrzucił go na mordę. Ojciec wściekł się. Bił matkę. Kopał. Jej okrwawioną twarz będę pamiętał do śmierci. Szukając ratunku, zwróciłem się do Boga: «Dobry Panie

Boże, ulituj się nad moją mamą». Wysłuchał mnie. Zabrał matkę, robiąc mnie sierotą.

Po śmierci matki ojciec zaczął mnie katować. Godzinami przesiadywałem w kościele. Modliłem się: «Boże, wybaw mnie od tego potwora!» I tym razem Bóg mnie wysłuchał. Którejś nocy ojciec powiesił się w kościele na ambonie. Pół miasta zbiegło się, aby zobaczyć wisielca. Ludzie odcięli ciało od ambony i zaczęli walczyć jak wściekłe psy o sznur. Wierzyli, że strzępek wydarty z powroza wisielca przynosi szczęście. Kłóciłem się z Bogiem: «Jak mogłeś pozwolić na taką ohydę? Więc albo matka kłamała, że jesteś dobry, albo jesteś bezradny wobec ludzkiej podłości». Przez kilka dni błąkałem się po polach. Zamiarowałem nawet skończyć tak, jak ojciec. Ale myśl, że bydlęta w ludzkiej skórze będą wydzierać sobie sznur, powstrzymała mnie. «Wasze niedoczekanie, skurwysyny!»

Na wychowanie wzięła mnie siostra ojca, Maria. Niestety żyła w nędzy i musiała oddać mnie do domu sierot. Gryzłem się myślą: «Co robi człowieka dobrym albo złym?» Zadręczałem tym moich wychowawców. Moje pytania zaczęły rodzić zawiść. Taki jeden drań zawziął się na mnie i ciągle mnie przedrzeźniał. Nazywaliśmy go «Kretem», bo jego pysk przypominał kreci ryj.

Do obowiązków uczniów należało między innymi rąbanie drewna. Roztrzaskiwanie pniaka siekierą łagodziło mój strach. Któregoś dnia, kiedy rąbałem drewno, Kret podszedł do mnie na czele bandy.

– Ej, ty, z długim kinolem... Daj nam kawałek powroza, na którym dyndał twój ojciec.

Krew zalała mi oczy. Podniosłem siekierę na wysokość głowy i ryknąłem:

– Na kolana, skurwysynu! Na kolana, bo cię rozplątam na pół!

Zaskoczony padł na kolana. Stałem nad nim z podniesioną siekierą, gotów go zabić. Ryknąłem:

– A teraz powtarzaj, gnoju: Paputa, byłem dla ciebie podły i za to cię przepraszam.

Trzęsąc się z przerażenia Kret błagał o przebaczenie. Wtedy zrozumiałem, że ludzie respektują tylko siłę. Postanowiłem nie bać się nikogo. Poszedłem do kaplicy. Modliłem się: «Mamo, przysięgam ci, że będę w życiu dobry...»”.



Barwne lata

Pomimo tego, że grałem wtedy dużo (od 1953 roku w Teatrze Powszechnym w Łodzi), jedne role większe, inne mniejsze, granie nie było dla mnie najważniejsze. Najważniejsze stało się życie towarzyskie. Szczególnie z Jurkiem Walczakiem, Elą Racisz oraz Leonem Niemczykiem, z którym zwiąże mnie wieloletnia przyjaźń. Będę mówił o nim Leos, bo to brzmi dźwięczniej.

Leos był dowcipny, pełen wdzięku, przyniósł ze sobą do teatru aromat innego świata. Przecież zjawiał się z Bydgoszczy, no, co tu gadać – z prowincji, a ubrany był jak z żurnala i z daleka pachniało od niego Zachodem. A więc garnitury wspaniale skrojone z nieosiągalnych w kraju materiałów. Buty na słoninie. Wyszukane skarpetki. Krawaty w najlepszym gatunku i smaku. Złote spinki w mankietach. No i wreszcie gęsta czupryna uczesana „w mandolinę”. Nie mówiąc już o bukiecie wody kolońskiej, który rozsiewał wokoło. Tym jednak, czym nam najbardziej imponował, była biegła znajomość dwóch języków: angielskiego i niemieckiego. Był osobą intrygującą. Kryjącą w sobie jakąś tajemnicę.

Dopiero w 2004 roku, a więc równe pół wieku od wydarzeń, które opisuję, tu, w Stanach, na jednym z kanałów Polskiej Telewizji, którą często

oglądam, zobaczyłem obszerny wywiad z Leosiem, w którym opowiadał o swoim barwnym życiu na Zachodzie. Oprócz posiadania wielu beneficjów żołnierza Armii Amerykańskiej jest upoważniony do noszenia amerykańskiego munduru. Jestem szczęśliwy, że mogłem przeżyć z nim parę pięknych przygód.

Był to czas, kiedy życie miało jeszcze spokojny przebieg, nie zaburzony nadmiarem występów w filmie czy telewizji, która wybuchnie dopiero za kilka lat, rujnując ustalony od lat rytm życia teatralnego. Rytuał dnia wyglądał z grubsza tak, jak w dawnym teatrze Leszczyńskich, Rapackich, Węgrzynów czy innych starych mistrzów. Od dziesiątej do drugiej próba. Potem obiad i popołudniówka, a jeśli nie, to popołudniowe „kimono”. Następnie wieczorny spektakl, a po nim światowe życie. Czyli „Malinowa!”



„Malinowa”

Kiedy przekraczaliśmy progi „Malinowej”, wszystko dookoła jaśniało. Ech! Jakie to było rozkoszne, kiedy pan Tadzik, oberkelner, w nieskalanym smokingu, z muchą, witał nas rozłożonymi rękoma, błyskając wykrochmalonymi mankietami. Wielki miłośnik teatru. Zapraszany przez nas, z żoną i trzema córkami w wieku gimnazjalnym przychodził na każdą premierę. A na takie fajerwerki, jak *Grzesznicy bez winy* czy *Tania*, po kilka razy. Oczywiście bilety były gratis. W związku z tym, zaszczycony takim wyróżnieniem, traktował nas po królewsku. Dojrzawszy nas, podpływał w naszą stronę i usadzał na środku sali, przy honorowym stoliku, Elę Racisz, Jurka Walczaka, Leosia, no i mnie.

Ela Racisz. Gwiazda Łodzi! Sala Teatru Powszechnego pękała w szwach. Bilety wyprzedawano na miesiące z góry. Amelia w *Mazepie* i tytułowa Tania

w sztuce Arbuzowa – obie kreacje zjawiskowe. Ela była wspaniałą aktorką. Miała niebanalną sceniczną urodę. Bardzo regularne rysy twarzy. Wielkie piwne oczy. Długie, gęste, układające się w loki włosy. Była, jak to się dzisiaj mówi, „zajebista” i chyba się w niej podkochiwałem. Zresztą nie ja jeden.

Jurek Walczak również miał za sobą oszałamiający sukces. Otóż Maria Malicka, która za swoje okupacyjne grzechy z Niemcami miała dożywotni zakaz występowania w stolicy, została zaangażowana przez Chojnicką do Powszechnego, gdzie na początek zagrała w *Grzesznikach bez winy* główną rolę. Ludzie płakali i chodzili do teatru po kilka razy. Wciąż słyszę Jurka Walczaka, który wygłasza swój słynny toast: „Piję zdrowie matek, które porzucają swoje dzieci!” Salę rozdzierał jeden wielki szloch. Z rozrzewnieniem wspominam szarpanie w piersiach. No bo cóż, nie wstydzę się, że lubię sobie w teatrze i w kinie popłakać.

Leos też już miał wystrzałową rolę, w sztuce *Zatrzymać pociąg* w reżyserii Romana Sykały. Dorwał się do roli amerykańskiego żołnierza i nie tylko umiał nosić słynny blezer amerykańskiej armii, ale śpiewał, tańczył i popisывał się wspaniałą angielszczyzną. Rola brawurowa. Ja grałem w tej sztuce dość dużą rolę, młodego Włocha, Goriana, zakochanego po uszy. Grałem dobrze. Chyba dlatego, że moją partnerką była Ela Racisz, z którą miałem miłosne sceny. Kiedy w beztrosce używania światowego życia zdarzało się nam przetupać pensje w połowie miesiąca, zawsze można było pójść do „Malinowej”, zasiąść przy stoliku i otrzymać zamówienie na kredyt, parafowany przez pana Tadeusza.



I pomyśleć, ile pięknych rzeczy wydarzyło się

w... „Maaaaaaalinowej”!!!

W „Malinowej” do kotleta grywał drobny, szczupły mężczyzna. Odstawiał różne kawałki, nie wyłączając Chopina. Tym młodym człowiekiem był Waldemar Kazanecki. Tak. Walduś, który napisał muzykę do *Nocy i dni*, jak również do wszystkiego, co w życiu wyreżyserowałem, i do wielu, wielu innych filmów polskich. Wówczas student konserwatorium łódzkiego na Wydziale Dyrygentury, dorabiający sobie grą do kotleta ze słynną orkiestrą Łopatowskiego, męża późniejszej charakteryzatorki *Hrabiny Cosel* i *Nocy i dni* – wielkiego talentu Aurelii Łopatowskiej.

„Malinowa” nabita po brzegi. Goście w różnym stanie pobudzenia alkoholowego. Gwar rozmów z każdą wypitą setą wzmagają się. Odplływają troski dnia powszedniego. Walduś ucina do kotleta jakiś melodyjny kawałek. Nasz kwartet jest już po tatarze z jajeczkiem i czekając na drugie danie zdążył zaliczyć dwie kolejki czystej wyborowej. *Świat nie jest taki zły...!*

Nieoczekiwanie do naszego stolika podszedł jakiś facet i ignorując męską stronę zwrócił się do Eli. Trzasnął kopytami i wyraźnie mocno podcięty wydusił: „Czy mogę panią prosić do tańca?” Zaskoczona Ela nie wiedziała, jak zareagować. Chwila konsternacji. Jurek Walczak i ja milczeliśmy głupio, jeden Leoś Niemczyk nie stracił fasonu. Uciął krótko: „Ta pani nie tańczy”. Odwrócił się, uważając, że rozmowa jest skończona.

Upłynęło kilka minut. Pan Tadzik podpłynął z drugim daniem. Napelnił kieliszki. Kiedy facet wyrósł przez Elę po raz drugi, ponawiając ofertę: „Paniepraszam, czy mógłbym panią zaprosić do tańca?”, Leoś odpowiedział: „Pan już chyba słyszał, że ta pani nie ma ochoty do tańca”. Facet przetarł desperacko spoconą twarz i pochylił się do Leosia.

– Kiedy, widzi pan, ja... ja... założyłem się z kolegami, że zatańczę z panią Raciszówną... Z Tanią – dodał z dumą.

– O ile się pan założył?

– O tysiąc złotych!

Leoś miękkim ruchem zanurzył dłoń w kieszeni marynarki.

– Proszę... Wygrał pan tysiąc złotych!

Facet zbaraniał. Pieniądzy nie przyjął. Zaczął coś bełkotać, po czym jak pies ze skulonym ogonem podryfował do koleśków. My wróciliśmy do biesiady.

Wtem pan Tadzik podjechał do nas z wózkiem i wiaderkiem, z którego wyglądały cztery zdrutowane głowy butelek szampana. Pan Tadzik powiedział uroczyście:

– To od tego pana... z przeproszeniami i życzeniami dalszych sukcesów na scenie.

Korek pierwszej butelki wystrzelił. Pan Tadzik sprawnie rozlał musujący płyn do kieliszków. Podnieśliśmy je w górę i zwracając się do fundatora zawołaliśmy chórem: „Dziękujemy i zdrowie panów!”

W tym momencie, jakby dla podkreślenia wagi chwili, Walduś uderzył pierwsze takty *Poloneza As-dur* Chopina. Sala ożywiła się. Nagle od jednego ze stolików podniósł się major. Wysoki. Postawny. Pierś ozdobiona kilkoma rzędami baretek orderowych. Mocno przyprawiony i lekko dryfujący, ciągnął za rękę partnerkę. Dupiasta. Cycata. Wszystko zdawało się na niej pękać. Pierwsza zorientowała się, że jest to kawałek raczej nie do tańczenia. Robiła wszystko, aby uwolnić się z ramion wojaka. Ale mężczyzna pobudzony erotycznie opasał ją ramionami i tuląc się lubieżnie do jej puszystych piersi próbował złapać w muzyce moment, by rozpocząć płas. Chwila twórczego wsłuchiwania się w arcydzieło Chopina, po czym z muzyczną frazą jako jedyna para na parkiecie ruszyli w tan.

Sensacja! Oczy wszystkich skierowały się na tańczących. Major demonstrował niewiarygodną inwencję choreograficzną, wymyślając figury, których by się nie powstydzili Nurejew razem z Barysznikowem. Niestety, kiedy przyszły słynne akordy w *As* – pam, pam, pam, pam, pam –

przypominające stukot kopyt rozpędzonych koni szarżujących na wroga, wena go opuściła. Zaczął drobić kroki, przypominające gruzińską lezginkę. Sala biła mu brawo. Zachęcony tym wykonał kilka skoków w górę. Przy jednym poślizgnął się i upadł. Ale jeszcze szybciej stanął na nogi. Salę raz po raz rozdierały brawa. My razem z widownią płakaliśmy ze śmiechu.

A kiedy wydawało się, że wspaniały wojak polegnie, Walduś Kazanecki okazał miłosierdzie. Niespodziewanie zaczął przerabiać poloneza na walca. Pojawiły się śpiewne dźwięki, pozwalające odzyskać władzę w nogach. Rozkołysany melodią wojak zaczął kołować po parkiecie szerokimi zakolami i raz po raz odkręcał dumnie głowę w stronę widowni, jakby chciał powiedzieć: „No i co palanty? Pamiętajcie generała Cambronne spod Waterloo, kiedy Anglicy kazali mu się poddać? Powiedział: «A gówno!!!»”

Niestety, „Malinową” zamykano o pierwszej i potem trzeba było iść na dopitkę do „Turkusowej Sali”. Ale nie lubiliśmy tego miejsca. Woleliśmy inne. Słynny „Mariensztad” przy ulicy Próchnika.



„Mariensztad” i prawy sierpowy Leosia

„Mariensztad”. Było tam kilku kelnerów, którzy znali nas i darzyli sympatią. Zwłaszcza że był to koniec 1955 roku i Leoś miał swoją pierwszą dużą rolę filmową u Jana Rybkowskiego, w *Godzinach nadziei*. Grał tam wybornie amerykańskiego pułkownika i rola ta przyniosła mu nową falę popularności. Stała się początkiem wielkiej kariery filmowej, otwierając drogę do *Noża w wodzie* Polańskiego i *Pociągu Kawalerowicza*. W tym samym roku ja dostałem dużą rolę w filmie Czesława i Ewy Petelskich pod tytułem *Trzy starty*. Grałem w jednej z nowel boksera Józka.

Atmosfera w kraju zaczęła się poprawiać. Raz po raz dochodziły wiadomości z Wolnej Europy, że niedługo koło nieboszczyka Generalissimusa Stalina eksploduje jakaś bomba. Istotnie. W październiku 1956 roku nastąpiło trzęsienie ziemi. Nikita Chruszczow na XX Zjeździe KPZR obwieścił Rosjanom i całemu światu, że Józus to nie był bohater narodowy, tylko kawał skurwego syna. Ale to będzie potem i jak przyjdzie pora, będziemy się cieszyć. Teraz zaś, rok przed tym szczęściem, dysponując niezłą gotówką za filmy, mogliśmy z Leosiem bez umiaru szpanować, prześcigając się w zamawianiu luksusowych trunków i dając „panom starszym” tęgie napiwki.

W „Mariensztadzie” były dwie możliwości biesiadowania. Albo w łóżach na podwyższeniu z widokiem na parkiet, albo na dole, koło parkietu, gdzie nieraz dostawiano stoliki, kiedy brakowało miejsc. Orkiestrę tworzyło trzech muzyków: akordeonista, skrzypek i wiolonczelista. Oni również śpiewali. I to jak! Wykonywali z uczuciem, w tercecie, różne polskie kawałki, na czele z nieśmiertelnym szlagierem *Ta ostatnia niedziela*, oraz piękne melodie radzieckiego chowu. Ci, którzy pamiętają te czasy, wiedzą, że zniewolenie i komunistyczna śruba nie przekładały się na nienawiść do rosyjskiej muzyki i rosyjskich piosenek z gatunku „Sierce, ciebia nie хочzetsia pokoja”, albo „Ech kalinka, kalinka, kalinka maja”; nie mówiąc o dziesiątkach innych duszoszczypatielnych numerach.

Tego wieczoru Leoś, który zazwyczaj brylował w towarzystwie, był ponury. Knajpa pękała w szwach. Stoliki gęsto oklejone gośćmi. Dym tytoniowy kłębił się w powietrzu. Jak zawsze w „Mariensztadzie”, towarzystwo dość szemrane, ożywione alkoholem rozmowy coraz głośniejsze. Raz po raz ktoś zamawiał jakiś nowy kawałek muzyczny. Przedwojenne szlagiery mieszały się z radzieckimi hitami. Leoś posmutniał. Wypił jeden kieliszek, po czym nie czekając na nas, nalał sobie drugi. Patrzyliśmy

zaskoczeni, bo na ogół ukrywał odchyły duszy w ustawicznych dowcipach, które rodziły mu się na poczekaniu. Nagle powiedział:

– Mój starszy brat jest skrzypkiem. Wspaniałym skrzypkiem... Mieszka w Anglii... Niestety jego kariera nie układa się. Dzisiaj dostałem list... Smutny... bardzo smutny!

Podparł podbródek dłonią i zamyślił się. W tej chwili orkiestra skończyła tango. Leos nagle wstał i szybko zszedł na dół. Po chwili wrócił odmieniony. Ledwie usiadł, z dołu odezwał się akordeonista.

– To, co teraz zagram, jest dedykowane komuś, kto przebywa bardzo daleko stąd. Ale nie tylko jemu. Utwór ten jest dedykowany tym wszystkim, którzy nie mogą powrócić do kraju i choć o niego walczyli, muszą żyć z dala od ojczyzny.

Niecodzienne słowa zaskoczyły widownię. Po chwili gwar ustał i akordeonista zaczął...



...„Czerwone maki na Monte Cassino”

Niespodziewanie od stolika przy barierce poderwał się jakiś facet. Wychylił się w stronę orkiestry i ryknął.

– Zamknąć się! Słyszycie? Kto wam za to zapłacił?

Leos poderwał się jak oparzony.

– Ja!

Mężczyzna zrobił krok w jego stronę. Był to średniego wzrostu osiłek o tępej mordzie i zamglonych wódą oczach. Siedział w towarzystwie dwóch kobiet, równie nabuzowanych jak on. Widocznie rozpoznał Leosia z filmu, bo huknął mu w twarz:

– A, to pan...? Pan wie, że za to można pójść siedzieć?

Sala zamarła. Obie kobiety poderwały się z krzesełek. Chwyciły go za ramiona i próbowały usadzić, ale on wyrywał się im z rąk, wyładowując pijacką agresję.

– No co? Masz mi coś więcej do powiedzenia?

– Tak. Mam! – odpowiedział Leos.

– No?

W tej chwili prawy sierpowy Leosia wyładował na jego szczęce, a po nim szybki podbródkowy przerzucił go za barierkę.

Obie kobiety zaczęły piszczeć.

– Olek!... Olek!

Leos był jak w transie. Wychylił się przez barierkę, gdzie, pełzając na czworakach po parkiecie, Olek czegoś rozpaczliwie szukał. Leos szybko zbiegł na dół. Pochylił się i podniósł rewolwer. Trzymał go chwilę w górze, po czym podał mu broń, mówiąc tak głośno, aby usłyszała cała sala:

– Proszę, zdaje się, że coś panu wypadło...

Sala przyjęła to salwą śmiechu.

Chwiejąc się w lewo i prawo, Olek schował pistolet do kabury pod pachą, następnie chwycił Leosia za rękę. Podniósł ją w górę na znak zwycięstwa i obejrzawszy się czujnie wokoło, zawołał:

– Brawo, panie Niemczyk! Orkiestra! Niech wie, co może Oleś!!!

W odpowiedzi ryk sali i brawa. Popłynęła pieśń:

Czerwone maki na Monte Cassino

Zamiast rosy piły polską krew.

Po tych makach szedł żołnierz i ginął,

Bo od śmierci silniejszy był gniew...

Po chwili śpiewała cała sala.

Dalsza część w wersji pełnej